



Bójka przy murze granicznym.



Od lewej: Papkin (Woszczerowicz), Rejent (Fertner), Cześnik (Kurnakowicz).

„ZEMSTA” PRAWDZIWA

AUGUST GRODZICKI

„Zapomnienie w teatrze, zapomnienie w literaturze, a potem sam czas oddalający nas coraz bardziej od epoki malowanej przez Fredrę, od jej warunków życia i jej kultury — dokonany dzieła miszance. Na razie teatr fredrowski tak jakby już nie istniał...”

Tak pisał w Krakowie Teofil Trzciniński w roku 1908. „Tradycja komedii fredrowskiej zagasła na scenach polskich już od dłuższego szeregu lat. Tu i ówdzie czyniono sporadyczne próby „wzmowień”, ale wynik kasowy był tak katastrofalny, że komedie fredrowskie poczęto traktować jako pewną konieczność kulturalną, jako widowiska z góry skazane na żywot krótki i grywane jedynie dla honoru domu...”

Tak pisał w Warszawie Jan Lorentowicz w roku 1923. „Fredro jest dzisiaj jednym z najwyższych i najbardziej skomplikowanych problemów naszej kultury. W teatrze przeżywa swój renesans na miarę tak wielką, że to trochę zaskakuje nawet ludzi zakochanych w jego dziele. Można powiedzieć bez cienia przesady, że nigdy dotychczas, nawet w latach pierwszych przedstawień swoich komedii, nie cieszył się tak wielkim zainteresowaniem, nie miał tak licznych i tak życzliwych widzów...”

Tak pisał Bohdan Korzeniewski w programie „Zemsty” w Teatrze Narodowym w Warszawie w roku 1953. Zadziwiające odrodzenie Fredry — to jeden z wielu wspaniałych przejawów rewolucji kulturalnej, która

przeorała nasze życie. Fredro ma dziś setki tysięcy widzów, którzy zawsze z radością oglądają jego komedie na scenie. Miały też zapewne tyleż chętnych czytelników, gdyby... jego książki można było dostać w księgarniach. Niestety, dostać ich nie można. Trzeba więc na razie apelować do Państwowego Instytutu Wydawniczego, aby zrealizował zapowiedziane wydanie zbiorowe dzieł Fredry, a do naszych filologów, aby jak najprędzej ustalili teksty, z czym podobno mają wiele kłopotu.

Bo nawet teksty komedii Fredry w dotychczasowych wydaniach nie były w pełni prawdziwe. A cóż dopiero mówić o opiniach krytycznych, które narastały w ciągu wieku wokół jego dzieła. Z hrabiowskiego rodu „hetman” polonistów, Stanisław Tarnowski, i kilka pokoleń jego uczniów — pasowało Fredrę na piewec i apologetę sarmatyzmu, a w świecie, przedstawionym w jego komediach, widziało apoteozę cnót starszszlacheckich. Także w teatrze uroczysto celebrowano jego komedie i w posuwistym, polonezowym rytmie demonstrowano kontuszkowe — pożał się Boże — ideały. A kiedy usiłowano wy dostać się spod tej nudy i zakłamania, wpadano w jakąś ponadczasową groteskę, która miała bawić i ożywić dzieło Fredry. Dopiero Boy (którego znakomite „Obrachunki fredrowskie” ukazały się ostatnio w nowym wydaniu) wydobył Fredrę spod skorupy igrasów i fałszów.

Oczywiście nie tych igrasów i fałszów szuka dziś w fredrowskich przedstawieniach nowy widz. Toteż teatr musi mu pokazać Fredrę autentycznego i zawsze żywego, bo zawsze żywy jest każdy wielki twórca.

Teatr Narodowy w Warszawie podjął się ambitnego zadania takiego nowego, prawdziwego pokazania „Zemsty”. Zeszłoroczna analogiczna próba z tą komedią w Krakowie raczej się nie udała. Warszawski inscenizator i reżyser, Bohdan Korzeniewski, miał za sobą już jeden wielki fredrowski sukces: przedstawienie



Cześnik Raptusiewicz

„Męża i żony” w Teatrze Kameralnym. Obecne przedstawienie „Zemsty” nie jest tak w pełni doskonałe, jak tamto, ale z pewnością posiada charakter odkrywczy i wnosi niejedną pierwszorzędnej wagi wartość artystyczną.

Korzeniewskiemu udało się uchwycić satyryczny charakter „Zemsty”. Świat, który oglądamy na scenie, na pewno nie budzi w nas sympatii i nie wywołuje czułych westchnień do dawnych rzekomych ideałów. Śmiejemy się z niego i jasno widzimy całą jego mierotę moralną. A dzieje się tak bez dodawania „na siłę” jakichś sztucznych reżyserskich pomysłów, które by miały tę satyrę wzmocnić. Korzeniewski jest wierny tekstowi, stara się go jak najściślej odczytać i wyciągnąć z niego teatralne konsekwencje. Wyrasta z tego prawda historyczna i prawda ludzka. Perypetie komediowe ukazują rozpadający się światek szlachecki w zabitym deskami zaścianku gdzieś około roku 1800. Światek ten rozpada się gospodarczo i moralnie.

Jednakże w przedstawieniu warszawskim widzimy na scenie nie nosicieli jakichś prawd historycznych czy moralnych, ale żywych, konkretnych ludzi. Każdy z nich postępuje zgodnie z charakterem, jaki mu nakreślił autor, i sytuacją, w jakiej go umieścił. Dążenie do prawdy życiowej i naturalności jest tu tak silne, że osłabiło i przytępiło wymowę artystyczną niektórych scen, takich jak np. ostra satyryczna rozmowa Rejenta z murarzami, czy tak dramatyczna rozprawa tegoż z Wacławem. Szkoda też, że przez to samo dążenie do prawdy i wygrywanie wszystkich działań wynikających z tekstu, ucierpiał przepiękny wiersz fredrowski. Jego płynność i żywość załamywała się w pauzach



Klara (Skowrońska) i Wacław (Kęstowicz).

Fot. J. Hartwig

Bełkończenie na str. 22